

Janusz Jasiński

Nowa monografia niemiecka o Mazurach

Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 1, 75-91

2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Janusz Jasiński

Nowa monografia niemiecka o Mazurach

I

Zainteresowanie ludem mazurskim, który definitywnie przeszedł do historii, nie słabnie zarówno po stronie polskiej, jak i niemieckiej. W 2001 r. ukazała się kolejna książka o losach Mazurów w ciągu ostatniego stulecia, dokładnie zaś od połowy XIX do połowy XX w.* Autor, Andreas Kossert, młody historyk niemiecki, lecz o korzeniach mazurskich, zna język polski, dzięki czemu mógł wykorzystać i wykorzystał polską literaturę przedmiotu, chociaż nie całą i nie zawsze dokładnie. Trzeba od razu powiedzieć, że niemal całkowicie ją akceptuje, a zarazem ostro ocenia literaturę niemiecką zarówno epoki wilhelmińskiej, weimarskiej, nazistowskiej, jak i powojennej. Z tej ostatniej krytycznie odnosi się najbardziej do Walthera Hubatscha, ale również do Hartmuta Boockmanna, Stefana Hartmanna, Heinricha Mrowki i innych. Autor świadomie i konsekwentnie posługuje się terminem „polityka germanizacyjna” i nie szuka ucieczki od tego sformułowania w rodzaju takich wyrażen, jak „dążenie do integracji państwowej”, „akulturacja” itp. Nie negując stosowania tych ostatnich pojęć we właściwym kontekście, przecież nie widzi potrzeby odchodzenia od wyrażanego, zgodnego z rzeczywistością, określenia o usiłowaniach zniemczenia ludności mazurskiej.

Słusznie autor na początku pracy, idąc za Friedrichem Krostą (1876), przypomina definicję ludu mazurskiego. A zatem jest to szczerp pochodzenia polskiego, wyznania ewangelickiego, mówiący swoją gwarą (nie językiem) i żyjący od kilku wieków w południowych częściach Prus Wschodnich (wcześniej Prus Książęcych). Z tego też względu, tych potomków Mazurów, którzy w okresie hitlerowskim ostatecznie zatracili mowę swych ojców i nie mówią nią dzisiaj — chcę to mocno podkreślić — trudno zaliczać do Mazurów, chociażby w dalszym ciągu tak siebie nazywali. Reprezentują oni już inną jakość, inną kulturę, a przede wszystkim inny, niemiecki język. Związek z ziemią zamieszkania (Heimat) nie wystarcza, aby ich nadal identyfikować z mazurskością (do tego wątku wróćę później).

Autorowi udało się dotrzeć do nowych, nie przebadanych źródeł, zwłaszcza kościelnych, wskutek czego mógł w sposób jeszcze bardziej udokumentowany niż dotychczas obciążyć Kościół ewangelicki aktywnym współdziałaniem w dziele rugowania języka polskiego z nabożeństw i nauczania szkolnego. W przeciwieństwie niemal do wszystkich współczesnych autorów niemieckich, Kossert posługuje się dawnymi nazwami miejscowości, stosowanymi do 1918 r., a pomija nadawane masowo, szczególnie u schyłku lat

* Andreas Kossert, *Preussen, Deutsche oder Polen? Die Masuren im Spannungsfeld des ethnischen Nationalismus 1870—1956*, Deutsches Historisches Institut Warschau. Quellen und Studien, Bd. 12, Harrassowitz Verlag, Wiesbaden 2001, ss. X, 393.

dwudziestych i trzydziestych XX w. Dodajmy tu, że początek niemczenia nazw miejscowości na Mazurach miał miejsce w 1877 r., kiedy to zmieniono jedenaście polskich nazw w powiatach nidzickim, szczycieńskim i ostródzkim. Kossert ma rację, gdy bardzo krytycznie ocenia wprowadzenie na przełomie XIX i XX w. do statystyk ludnościowych rubryki „język mazurski”. Wychodząc z naukowego założenia, że taki w ogóle nie istniał, pisze wyraźnie: „dialekt mazurski, pomimo germanizacji, według językznawców, zachował autentyczną czystość języka polskiego, jak i inne polskie dialekty regionalne”. Świadomi, że mówią językiem polskim i że żyją w państwie pruskim, Mazurzy sami siebie bardzo długo nazywali polskimi Prusakami. W ostatnich dziesięcioleciach XIX w. określali siebie inaczej — Mazurami lub pruskimi Mazurami. Tutaj Kossert poszedł za badaniami Grzegorza Jasińskiego (1994).

Kossert, jak rzadko który autor niemiecki, dostrzega emigrację Mazurów w pierwszej połowie XIX w. do Królestwa Polskiego oraz potwierdza badania nauki polskiej o ich sympatiach do polskich powstańców w 1831 i 1863 r. Wreszcie, co jest bardzo ważne, widzi początki ostrych posunięć germanizacyjnych w zarządzeniu rejencji gabińskiej z 1834 r. Do tej kwestii wróć w dalszej części recenzji. Słusznie też omawia rolę Krzysztofa Celestyna Mrongowiusza i Gustawa Gizewiusza w dziele hamowania dążeń germanizacyjnych. Jest pierwszym autorem niemieckim, który wykorzystując ostatnie badania polskie, we właściwym kontekście językowym umieszcza działania superintendenta piskiego Gottfrieda Schulza i wicesuperintendenta generalnego Karla Remusa w trzeciej ćwierci XIX w. Twardo pisze, że po roku 1873: „z niemieckiej strony uczyniono wszystko, aby długowieczną mowę Mazurów wyeliminować” nie tylko z życia publicznego, ale również z posługiwania się nią w lokalnych społecznościach. Stwierdza: „Wraz z powstaniem Rzeszy Niemieckiej zaostrzyły się przeciwieństwa narodowe w Poznańskim i na Pomorzu. Wynikało to z prusko-niemieckich dążeń w celu ograniczenia polskich stowarzyszeń i działań kulturalnych, jak również z chęci gnębienia (*Zurückdrängung*) języka polskiego w życiu publicznym”. Stosunki te odbijały się niekorzystnie także na Mazurach, chociaż tutaj w ogóle nie można było mówić o polskim życiu kulturalnym (mam na myśli tzw. wysoką kulturę).

Autor zdaje sobie sprawę z tego, że na asymilację społeczności mazurskiej miały wpływ także naturalne zjawiska, jak żywsze kontakty gospodarcze z całością ziem niemieckich, postępy cywilizacji, z natury rzeczy w opakowaniu niemieckim, a ponadto brak własnych mazurskich elit, a nawet warstw średnich. Dużą rolę odgrywała ogólna atmosfera antypolska, którą wzmacniała osławiona hakata. Kossert na epoce wilhelmińskiej nie pozostawia suchej nitki: „W rzeczywistości wielkoniemiecki nacjonalizm wraz z socjalno-darwinistyczną ideologią były odpowiedzialne za eskalację konfliktu z Mazurami”. Absolutnie nie zgadza się z tezą Hubatscha i nie tylko jego, że ze strony państwa pruskiego zarządzenia germanizacyjne były jedynie formą obrony przed „polskim niebezpieczeństwem”. Pomimo to, wszystkie te czynniki, a więc zarówno świadoma polityka germanizacyjna, jak i gospodarczo-cywilizacyjna, nie doprowadziły do dużego cofnięcia się języka polskiego. Dlaczego? Ponieważ oddziaływał tu typowy konserwatyzm chiłpski, a szczególnie przywiązanie do języka liturgii w ewangelickich nabożeństwach.

Jednocześnie następowało interesujące zjawisko odwrotne. Rodowici Niemcy wywodzący się głównie z elit społecznych — pisze Kossert — zaczęli się identyfikować z nazwą ziemi, na której mieszkali i pracowali, czego wyrazem było założenie w Lecu (Gizycko) Literarische Gesellschaft Masovia. Wstąpiło do niego kilkuset członków. Oczywiście owa

niemiecka „mazurskość” nie miała nic wspólnego z mazurskością, zdefiniowaną przez Krostę.

Wbrew historiografii niemieckiej (Walther Hubatsch, Heinrich Mrowka, Stefan Hartmann) głoszącej, że Mazurzy nie bronili się przed naciskiem germanizacyjnym, Kossert przypomina i głębiej udowadnia, że wyrazem cichego protestu przeciwko antypolskim dążeniom państwa i Kościoła był masowy ruch gromadkarski. Oto na spotkaniach u bardziej aktywnych i religijnych Mazurów odbywały się wielogodzinne zebrania, w czasie których czytano Pismo Święte, dyskutowano na temat wybranych tekstów oraz śpiewano polskie pieśni religijne. Autor dotarł do nowych, ważnych źródeł wskazujących, jak dalece władze pruskie oraz Kościół zwalczały ruch gromadkarski z uwagi na to, że hamował on procesy asymilacyjne. Gromadki powstawały samorzutnie; ponieważ jednak były rozczłonkowane, nie potrafiły stworzyć większej, wspólnej organizacji, która mogłaby się energiczniej przeciwstawiać wprowadzaniu języka niemieckiego podczas nabożeństw kościelnych. Są to jedne z cenniejszych ustaleń autora.

Dostrzega też Kossert dużą rolę kalendarzy Marcina Gerssa w utrzymywaniu mazurskości swoich ziomków, zarazem odcina się słusznie od poglądu Hubatscha, upatrującego działalność mazurskiego redaktora w służbie polskiego ruchu narodowego. Hasłami wywoławczymi mazurskości według Gerssa były: król, ewangelicyzm oraz gwara mazurska (nie język). Również słusznie stwierdza autor, że krewny Marcina Gerssa, Otto Gerss, który przejął redakcję kalendarzy, „był przeniknięty antypolskością”.

W dalszym procesie asymilacji Mazurów dużą rolę odegrała I wojna światowa, ponieważ wielkie boje toczyły się właśnie na ziemi mazurskiej. Doszło do zbliżenia z Niemcami, do braterstwa broni z całą armią cesarską, która broniła miasteczek, wsi i domów mazurskich przed niosącymi zniszczenia pułkami rosyjskimi. Następnie całe Niemcy przysły z pomocą w odbudowie Prus Wschodnich. To budziło wdzięczność i rodziło uczucia już nie tylko pruskie, ale i niemieckie. Ojczyzną stawało się całe Cesarstwo Niemieckie. Nie oznacza to, że język polski nagle zanikł na Mazurach. Studenci niemieccy musieli się porozumiewać z mieszkańcami wsi mazurskich za pomocą tłumaczy. Od strony ideologicznej zrodził się nowy mit Tannenbergu i Hindenburga o wydzwięku antysłowiańskim, przeto i antypolskim.

Jeszcze większy wpływ na wzmocnienie więzów mazursko-niemieckich miał plebiscyt; także tutaj należy odnieść się do wywodów Kosserta z dużym uznaniem. Wiadomo, że plebiscyt w historiografii niemieckiej jest symbolem wspaniałego zwycięstwa, biorącego odwet za „hańbę Wersalu”. Jeszcze dzisiaj wiele opracowań niemieckich nie jest pozbawionych triumfalizmu, połączonego z nutkami lekceważenia, jeśli nie pogardy, wobec polskich „roszczeń terytorialnych”. Przy czym opracowania niemieckie rzadko wnikają w autentyczne okoliczności poprzedzające dzień głosowania, a jedynie krótko omawiają formalno-prawną sytuację plebiscytu, a następnie orzekają bezdyskusyjnie, że jego wyniki świadczą o niemal stuprocentowej niemieckiej świadomości narodowej Mazurów. Właśnie tego rodzaju ocenie plebiscytu przeciwstawił się odważnie Kossert.

Wniknął on głęboko w wewnętrzną sytuację Mazur, która doprowadziła do tak wielkiej klęski Polski. Pisze więc o fizycznych gwałtach, o prawdziwych pogromach stosowanych nie tylko wobec działaczy polskich, ale i wobec sympatyków Polski, wskutek czego w dniu głosowania do urn wyborczych nie poszły tysiące propolsko nastawionych Mazurów. Istniały olbrzymie naciski propagandowo-psychologiczne, m.in. przez wciąganie Mazurów do Masurenbundu, w którym już przed plebiscytem pisemnie zobowiązywa-

li się, że będą głosować za Niemcami. Autor nie ma wątpliwości, że komisja aliancka nie była obiektywna, że popierała stronę niemiecką. Ba, autor na przykładzie wsi Botowo w powiecie szczycieńskim ujawnia jaskrawe fałszerstwa. Oto według oficjalnych wyników wszyscy głosowali tam za Niemcami. Tymczasem według niepublikowanej listy za Polską głosowało aż pięćdziesiąt osób! Kossert nie zgadza się też z twierdzeniami historyków niemieckich (np. Stefana Hartmanna) o stosowaniu terroru przez „polskie bojówki”. Z drugiej strony ma też rację wytykając polskim pamiętnikarzom błąd, gdy ci nazywają Maxa Worgitzkiego „renegatem”. Worgitzki był zajadłym wrogiem Polski ale nigdy nie czuł się Polakiem, stąd przyczepianie mu łatki renegata jest pozbawione sensu. Słusznie też Kossert twierdzi, że historycy polscy nie zawsze mieli odwagę drukować oficjalne wyniki głosowania. Tak więc — dowodzi — plebiscyt pogłębił niemieckie poczucie narodowe Mazurów. Ale chociaż oficjalnie goszono, że wykazali wierność wobec niemieckiej ojczyzny, to jednocześnie w wewnętrznych raportach stwierdzano, że jest to nadal „Mischvolk” bądź „Grenzvolk”. Podobnie jak przed I wojną światową, również w okresie weimarskim Kościół ewangelicki współdziałał z władzami administracyjnymi na rzecz eliminowania języka polskiego, w dalszym ciągu zwalczał gromadkarzy. Słusznie autor poddaje w wątpliwość niemal sensacyjną informację warmińskiego pamiętnikarza Pawła Sowy, że gromadkarz Otto Skok z powiatu piskiego w latach Trzeciej Rzeszy zebrał 18 tys. podpisów w celu założenia odrębnego Kościoła mazurskiego. Wszystko to, co się działo na Mazurach, podlegało nieustannej, bacznej kontroli ze strony hitlerowskiej organizacji Bund Deutscher Osten. Tymczasem w jej sprawozdaniach nie ma najmniejszego śladu o działalności Skoka.

Bardzo ważne są analizy statystyk językowych z lat 1910, 1925 i niepublikowanych z 1933 (odkrycie tej ostatniej — to kolejna zasługa autora). Kossert udowadnia w sposób przekonujący, że statystyka z 1925 r., na którą wciąż powołują się historycy, w gruncie rzeczy została sfałszowana. Oto bowiem odsetek polskojęzycznych Mazurów w 1933 r. w licznych wsiach był wyższy niż w 1925 r., co znając wzmożone działania germanizacyjne po roku 1925 było rzeczą niemożliwą. Jedyne rozsądne wytłumaczenie owych niezrozumiałych danych można wyjaśnić przez dyskwalifikację statystyki z 1925 r. Np. w Białym Grąncie, powiat szczycieński (dzisiaj Mateuszki), niemieckojęzycznych osób miało być w 1925 r. 57,6%, a w 1933 r. ich liczba spadła do 38,6%! Wyciąga przeto Kossert właściwy wniosek — powtórzmy — statystyka z 1925 r. nie nadaje się w ogóle do jakichkolwiek rozważań narodowościowych (lub ściślej — do analizy przemian w zakresie posługiwania się językiem polskim i niemieckim w Prusach Wschodnich). Na to, że język polski w latach dwudziestych miał wciąż żywotną siłę, wykazują lokalne społeczności mazurskie, upominające się o polskie nabożeństwa czy popularność starej jutrzni mazurskiej. Zresztą nadprezydent prowincji wschodniopruskiej pisał w wewnętrznym sprawozdaniu w 1925 r. o renesansie języka polskiego (nie mazurskiego).

Autor nie zapomniał też zająć się kwestią mazurską na Działdowszczyźnie, należącej w latach 1920—1939 do Polski. Także tutaj poszedł za literaturą polską (głównie za Wojciechem Wrzesińskim i Piotrem Bystrzyckim). Obiektywnie pisze, dlaczego Polsce nie udało się pozyskać tamtejszych Mazurów — a to wskutek nieszczęsnej polityki endecji, usiłującej ich katolicyzować. Ale nie tylko. Pamiętam, że nie bardzo dowierzałem Emilii Sukertowej-Biedrawinie, gdy opowiadała mi o przeszkodach stawianych stronie polskiej przez Kościół unijny w procesie zespolenia Mazurów z Kościołem ewangelicko-augsburskim, na czele którego stał biskup Juliusz Bursche w Warszawie. Tymczasem

superintendent działdowski Ernst Barczewski opowiedział się po stronie poznańskiego generalnego superintendenta w Poznaniu Paula Blau, reprezentującego Kościół unijny. Miała przeto rację Emilia Sukertowa-Biedrawina, gdy wspominała o jego machinacjach, co potwierdził obecnie Kossert, a już wcześniej niemiecki pastor w Berlinie Bernd Krebs (1993). Ponadto autor wykazał, że Mazurzy otrzymywali tajne wsparcie finansowe od Niemieckiej Fundacji w Berlinie, aby nie ulegali kulturowej polonizacji. O tym także mówiła Emilia Sukertowa-Biedrawina.

Literatura polska dużo uwagi poświęcała kwestii zakładania polskich szkół mniejszościowych na Mazurach i ostrej kontrakcji władz niemieckich, w praktyce paralizującej polskie zamierzenia. Kossert w całej rozciągłości uwiarygodnia polskich historyków. Bardzo ciekawe, często nowe, są teoretyczne rozważania (których nie będę bliżej charakteryzował) zarówno duchownych pracujących na Mazurach, jak i pisarzy oraz publicystów, a także profesorów na temat ludności mazurskiej oraz polityki, jaką należało wobec niej stosować. Wymieniam tylko nazwiska, część ich jest dobrze znana osobom interesującym się kwestią mazurską. Byli to: Hermann Gollub, Max Worgitzki, Erwin Scheu, Wilhelm Volz, Erich Maschke, Richard i Fritz Skowronkowie, Gerhard Czybulka, Leo Witschell, Hans Rothfels, Werner Horn, Manfred Laubert, ba, nawet czołowy socjolog po II wojnie światowej, Theodor Schieder. Ten ostatni był kierownikiem hitlerowskiej Landesstelle Ostpreussen für Nachkriegsgeschichte! Zresztą nie tylko on współpracował z władzami nazistowskimi. Także inni naukowcy, znani z działalności po II wojnie światowej, zaangażowali się od 1940 r. na rzecz „integracji” dystryktu ciechanowskiego ze strukturami prowincji wschodniopruskiej — demaskuje Kossert.

Dalej przypomina znaną historykom polskim odezwę nauczyciela Ruhatza z Rozóg z 1923 r., w której stwierdzono, wbrew oficjalnym publikacjom, że Mazurzy w 80% są „krwi polskiej”. Natomiast całkiem nowym odkryciem Kosserta są materiały o represjach zastosowanych wobec mazurskiego nauczyciela.

Zgodnie z badaniami, głównie Wojciecha Wrzesińskiego, stwierdza, że ruch polski na Mazurach nie mógł się poszczycić żadnymi sukcesami. Z jednej strony akcje polskie nie były ani skoordynowane, ani przemyślane, z drugiej zaś napotykały na tak potężne kontrakcje państwa niemieckiego, Kościoła ewangelickiego oraz różnych organizacji społecznych, iż walka o rząd dusz mazurskich przypominała siły Goliata i Dawida, z tym że zabrakło cudu, aby mógł zwyciężyć Dawid.

Słusznie autor podkreśla, że w ideologii hitlerowskiej nową jakością było akcentowanie wspólnoty rasistowsko-volkistowskiej, do której skutecznie wciągano także Mazurów, pomimo ich polskiego pochodzenia. Na ten zarzut odpowiadano, że korzenie Mazurów sięgają pragermańskich przodków. Oczywiście, podobnie jak Niemcy, również Mazurzy poparli Hitlera głównie — niezależnie od politycznych — z pobudek gospodarczych i socjalnych. Niemniej nazwę Mazury (Masurenland) coraz częściej zastępowano terminem „Południowe Prusy Wschodnie”.

Tak więc Mazurzy zostali dowartościowani, przestano ich traktować jako obywateli drugiej kategorii, mimo iż w domu nierzadko nadal mówili po polsku. Zaczynali otrzymywać różne stanowiska w lokalnej administracji, a także w strukturach NSDAP. To im imponowało i dzięki temu coraz bardziej identyfikowali się z Trzecią Rzeszą. W najmłodszym pokoleniu, które przeszło przez organizację Hitlerjugend, Bund Deutscher Mädel czy obozy pracy (Arbeitsdienst) dokonana się całkowita asymilacja, pełna germanizacja (i to w wydaniu volkistowskim). Właśnie wtedy ostatecznie została

zerwana tradycja mazurska z pokoleniem ojców i dziadów. Zresztą już w okresie weimarskim próby reaktywowania mazurskości (Samopomoc Mazurska, Związek Mazurów) — pisze Kossert — poniosły klęskę. Owszem, władze starały się pozornie utrzymać elementy ludowej kultury mazurskiej, ale w gruncie rzeczy były to jej imitacje. Dawne dożynki miały oprawę niemiecką, do starych melodii mazurskich dorabiano słowa niemieckie. Tu, chociaż Kossert pisze o wszechstronnym oddziaływaniu niemieckości, szczególnie na młode pokolenie, kropki nad „i” nie postawił, nie powiedział, za kogo w 1939 r. uważało się pod względem narodowym najmłodsze pokolenie.

W sumie jednak Kossert, bodajże jako pierwszy w niemieckiej literaturze poświęconej Mazurom, ten — bądź co bądź — wstydlivy problem głęboko zakorzenionych wpływów hitlerowskich w społeczności mazurskiej, z taką mocą wydobyl.

W czasie II wojny światowej, kiedy „polskie niebezpieczeństwo” minęło, Niemcy zaczęli publicznie przyznawać, że nie istnieje „język mazurski”, a tylko polski — pisze Kossert. Zarazem władze nazistowskie, na czele z Bund Deutscher Osten, odczuwały pewne zaniepokojenie z tego powodu, iż wraz z napływem jeńców i robotników przymusowych, w dużej liczbie polskich, jakby się odradzał język polski, co jednak nie oznaczało, że następowała pozytywna zmiana wobec polskości, zwłaszcza wśród najmłodszej generacji.

Odnosząc się generalnie do najbardziej cennych walorów książki, widzę je przede wszystkim w części poświęconej latom 1921—1945, a to głównie dzięki szerokiemu wykorzystaniu źródeł kościelnych znajdujących się w Evangelisches Zentralarchiv w Berlinie. Autor udowodnił, że gwara mazurska była wciąż językiem komunikacji w lokalnych społecznościach, że Mazurzy nie zawsze biernie przyglądali się rugowaniu języka polskiego z nabożeństw kościelnych, że wciąż żywe były tradycyjne jutrznie mazurskie, że nie zamarły religijne spotkania gromadkarzy. Z drugiej strony wykazał, jak dalece różnego rodzaju władze i organizacje społeczne krzewiły, zwłaszcza wśród najmłodszego pokolenia, dawną kulturę ludową, ale już w przetworzonej formie kultury niemieckiej, co obok wpajania od wczesnego dzieciństwa języka niemieckiego, doprowadziło do zaniku mazurskości.

II

Najbardziej kontrowersyjny pogląd wyraził Kossert w zdaniu, iż za zanik mazurskości odpowiedzialne są dwa nacjonalizmy — niemiecki i polski, usiłujące przekształcić lud mazurski w Niemców i odpowiednio w Polaków. Tymczasem trudno się w ogóle zgodzić z poglądem, aby w tym zakresie można było dokonywać jakichkolwiek porównań. Zresztą treść całej książki Kosserta przeczy powyższemu wnioskowi. Wygląda na to, że autor przestraszył się swojej odważnej — na tle całej historiografii niemieckiej — analizy procesów germanizacyjnych mazurskiej społeczności i postanowił ją częściowo zanegować.

Kossert rzetelnie udowodnił narastającą germanizację w ciągu bez mała stu lat (jedynie minimalizuje ją w pierwszej połowie XIX w.), która w ostatecznym rachunku doprowadziła w 1945 r. do niemal całkowitego wymarcia języka polskiego i ludowej kultury mazurskiej, szczególnie w najmłodszym pokoleniu. Można przyjąć, że gdyby po II wojnie światowej nie nastąpiła zmiana państwowości, to i tak wszyscy mieszkańcy Mazur mówiliby w ciągu następnego pokolenia wyłącznie po niemiecku. Przypomnijmy,

że jednym z głównych atrybutów mazurskości — co Kossert słusznie mocno zaakcentował — były język polski (dokładniej gwara mazurska) i kultura ludowa. Z ich zanikiem rozplątałyby się i lud mazurski. Zgadzam się, że i Polska walczyła o rząd dusz na Mazurach, ale działaczom ruchu polskiego w praktyce chodziło o utrzymanie języka ojczystego, czyli właśnie o zachowanie mazurskości. Ponadto, o czym pisze także Kossert, ruch polski na Mazurach powstał dopiero na przełomie XIX i XX w. i w dodatku miał minimalne wpływy. Czy w ogóle można porównywać długotrwałą, systematyczną pracę nad niemczeniem Mazurów z polskimi dążeniami do ich unarodowienia w odległej przyszłości? Trzeba tu przypomnieć rzecz oczywistą, że naturalnym podłożem dla budzenia tożsamości narodowej jest język. Polakom, wraz z dążeniem do utrzymania go w Prusach Wschodnich, zależało na wykazaniu wspólnoty językowej z innymi dzielnicami polskimi. Natomiast strona niemiecka, odwołując się głośno do pruskich tradycji państwowo-dynastycznych, a jednocześnie odrzucając — jak mówił Gizewiusz — „święte dziedzictwo”, czyli język ojczysty, przy wykorzystywaniu swojej omnipotencji państwowej przekształcała z czasem lud mazurski w swoistych janczarów. Pozostał tylko związek z ziemią. To oczywiście coś znaczyło, ale było za mało, aby zachować mazurskość. Wszak rodowici Niemcy także przyznawali się do związków z „Masurenlandem”.

I dalej. Czy Polska po roku 1945 mogła przywrócić tej części ludności, która pamiętała o swoim rzeczywistym pochodzeniu mazurskim, jej mazurskość? Myślę, że nie, było na to za późno. Najmłodsze pokolenie mówiło już tylko po niemiecku, gorzej, bo także myślało po niemiecku, a ponadto zostało wychowane w ideologii nazistowskiej. Słusznie zauważył to już w 1962 r. Wojciech Wrzesiński, który stwierdził, że w 1939 r. istniało: „Pokolenie najmłodsze, poniżej 30 lat, wychowane już w duchu hitlerowskim, które wręcz wrogo odnosiło się do wszystkich przejawów życia polskiego”, i które nie mówiło po polsku nawet w domu. Podobnie pisze Andrzej Sakson (1998): „W wyniku procesów historycznych prawie wszyscy Mazurzy i większość Warmiaków, szczególnie pokolenia średniego i najmłodszego, identyfikowała się z państwem niemieckim, uważała się za Niemców. Znaczna ich część nie знаła już języka polskiego (mazurskiego, warmińskiego). Nie wielki odsetek [podkreślenie — J.J.] tej ludności, szczególnie na Mazurach, miał poczucie więzi z polskością”. A więc z tej niedużej części, która po roku 1945 pozostała w Polsce, również „niewielki odsetek” miał jakieś związki z polskością. Gdyby Polska prowadziła wobec ludności pochodzenia mazurskiego, ale uważając się już za zdeklarowanych Niemców, politykę narodowościową jak najbardziej tolerancyjną, czyli, gdyby dopuszczono w nauczaniu język niemiecki, a co za tym idzie, jako oczywistą konsekwencję, kształcono by ją w kulturze niemieckiej i gdyby nawet nie traktowano jej jako obywateli drugiej kategorii (co po strasznych latach okupacji byłoby rzeczą niemożliwą), to być może nastawienie tego pokolenia wobec Polski nie byłoby wrogie. Ale stawiam tu duży znak zapytania, ponieważ — przypominam — było to pokolenie wychowane w ideologii hitlerowskiej, o czym autor dowodnie nas przekonał. Sam pamiętam owych młodszych ode mnie Mazurów, wychowanych od dzieciństwa w systemie nazistowskim. Wobec nas, Polaków przybyłych z Polski centralnej, odnosili się z niechęcią, ale jakoś tolerowali, wobec najbliższych sąsiadów, Kurpiów, z powodu doznanych od nich rabunków, szabru itd., nieprzyjaźnie, a wobec Mazurów-Polaków, jak np. wobec Fryderyka Leyka, z prawdziwą nienawiścią; tych ostatnich nazywano „Landesverräter”.

Chociaż młodzi Niemcy (po 1945 r.), już po szkołach polskich, mówili dość płynnie polskim językiem literackim, to ich językiem domowym był wciąż niemiecki, i nic się nie zanosilo, aby mogła nastąpić jakaś zmiana. Podobna sytuacja istniała w środowiskach warmińskich. Pamiętam np. odpusty w Biesowie w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Miałem wówczas wrażenie, że znajduję się w środku Reichu, pomimo że młodzież miała za sobą szkołę polską i gdy chciała, mówiła całkiem dobrze po polsku. Stykałem się z nią przez pięć lat. Ale wracam do Mazurów. Owszem, jakiś niewielki odsetek na 70 tys. uważałby się za Mazurów w tradycyjnym rozumieniu, ale pozostała, największa część utożsamiała się nadal z Mazurami—Niemcami. Polska otrzymała spuściznę bardzo trudną i niezależnie od swoich błędów, na przywrócenie autentycznej mazurskości było za późno. Najstarsze pokolenie i częściowo średnie z pewną znajomością gwary mazurskiej i kultury ludowej wymierało, a ich miejsce zajmowało całkowicie zgermanizowane z wciąż żywym duchem rewizjonizmu.

Następna sprawa dyskusyjna dotyczy polityki germanizacyjnej w pierwszej połowie XIX w. Na ten temat pisałem już wielokrotnie, ale historycy niemieccy (z nielicznymi wyjątkami) w dalszym ciągu lekceważą przecież niepodważalne źródła o antypolskich (i antylitewskich) dążeniach w erze nadprezydenta Theodora von Schöna (nazwiska tego autor nawet nie wymienił). Kossert wprawdzie zna podstawowy drukowany zbiór dokumentów do tej kwestii (*Die polnische Sprachfrage in Preussen*, 1845), ale i on jego znaczenie minimalizuje („Zwar begannen schon seit der ersten Hälfte des 19. Jahrhunderts vereinzelte Maßnahme den Assimilierungsprozess zu forcieren, doch fand die entscheidenden Zäsur erst mit der Reichsgründung statt”). Pisze, że był to krótkotrwały incydent, szczególnie zarządzenie rejencji gabińskiej z 1834 r., ponieważ Prusy miały niebawem wrócić do swojej tradycyjnej polityki tolerancji wobec etnicznych mniejszości. Zmiana w kierunku nacjonalizmu — orzeka dalej — nastąpiła dopiero, jak wskazuje przytoczony wyżej cytat, po zjednoczeniu Niemiec. Nie podoba się też Kossertowi wyrażenie stosowane przez historyków polskich, że w pierwszej połowie XIX w. istniała na Mazurach „walka o polskość”. Przecież — mówi — Mazurzy, broniąc się przed rugowaniem języka polskiego, odwoływali się do argumentów religijnych, a nie narodowościowych. Oczywiście, wskutek pamięciowego, mechanicznego wpajania prawd wiary w języku niemieckim, pastory i rodzice bardzo mocno akcentowali, że dzieci ponoszą straty na duszy. Ale sprawa nie jest tak prosta. Rzecznikom polskości łatwiej było bronić się przed germanizacją, gdy zwracali uwagę na motywy religijne, a nie na narodowościowe. Bardzo dobrze się orientowali, że system Theodora Schöna i Karla Rättiga przeciwko mniejszościom etnicznym wprowadzono za wiedzą rządu berlińskiego. Nie można było zatem — ze względów taktycznych — frontalnie go atakować. Poza tym, jeśli wprost zwalczano język polski w szkolnictwie, to obrona przed tą akcją była automatycznie „walką o polskość”, oczywiście przede wszystkim o polskość etnograficzną. Ale nie tylko. Bo sam Gizewiusz stwierdzał, że zwalczanie języka polskiego jest zarazem walką z polską narodowością. Pisałem o tym czterdzieści lat temu (1962).

I dalej. Czy był to krótkotrwały epizod z drugiej ćwierci XIX w.? Otóż władze pruskie zaczęły się interesować językiem polskim jako „obcym” bezpośrednio po rozbiorach. Gdy zastanawiano się, jak dalece można go stosować w życiu publicznym w świeżo zagarniętych ziemiach rdzennie polskich, jednocześnie zwrócono większą uwagę na stare prowincje, tzn. na Śląsk i Prusy Wschodnie. Pierwsze konkretne kroki zmierzające do nauczania języka niemieckiego na Mazurach podjęto po wojnach napoleońskich, co

zbiegło się z objęciem rządów przez nadprezydenta von Schöna. On to nadawał ton antypolski we wszystkich czterech rejencjach swoim urzędnikom, radcom szkolnym, nauczycielom, burmistrzom, także władzom kościelnym. Warto dla przykładu wskazać na znamieny przypadek Ostródy. W 1825 r. Schön nakazał ustnie magistratowi skasować szkołę polską, a zarazem wszystkie dzieci uczyć po niemiecku (nie tylko języka niemieckiego). Decyzja nadprezydenta została wprowadzona w życie i nigdy nie odwołana. W tym czasie niemieckich konfirmantów w Ostródzie było 689 a polskich 993, czyli o 300 więcej. Miał więc powód Gizewiusz, aby oburzać się na politykę językową na Mazurach. Inny przykład. W 1828 r. rektor szkoły w Wielbarku, znajdując się pod długoletnią presją swoich przełożonych, pisał, że w ciągu trzynastu lat gorliwie pełnił swoje obowiązki, aby szkołę polską przekształcić w niemiecką („— um in Willenberg die Schule aus einer polnischen in eine deutsche umgeschaffen”). Prezes rejencji królewieckiej po wizytacji szkolnictwa warmińskiego w 1827 r. żądał, „aby podwójną mowę możliwie szybko usunąć, a niemiecką uczynić panującą i powszechnie zrozumiałą” („— die Doppelsprache möglichst zu beseitigen und die deutsche zur herrschenden und allgemein verständlich zu machen”). A więc nie chodziło tu tylko o wpojenie drugiego, niemieckiego języka. Miał on wyprzeć język polski! Takie cele stawiały sobie władze pruskie już w latach dwudziestych, a nie dopiero od 1834 r. Zaś w roku 1834 nie tylko rejencja gabińska wydała niezwykle ostre zarządzenie antypolskie, ale także pozostałe trzy rejencje w prowincji pruskiej podległej Schönowi. Nauczyciele mieli uczyć języka niemieckiego, a w ciągu kilku lat całe nauczanie prowadzić w języku państwowym, z wyjątkiem paru godzin przeznaczonych na religię. Przypomnijmy, że wówczas bardzo wielu nauczycieli w ogóle nie znało niemieckiego. Zarządzenie powyższe, wprost absurdalne, musiało zostać odwołane, ale tylko częściowo. Mimo słynnego protestu Mrongowiusza z 1842 r., inspirowanego przez Gizewiusza, złagodzenie kursu antypolskiego w 1843 r. miało zasięg bardzo ograniczony. Minister Eichhorn wprawdzie nakazał nieco zwiększyć wymiar godzin na nauczanie dzieci religii w języku ojczystym, ale już na naukę polskiego czytania przeznaczył zaledwie 25—50% z ogólnego czasu na czytanie, czyli 3—6 godzin na czytanie polskie, a 6—9 godzin na czytanie niemieckie. Chodziło tylko o to, aby dzieci mogły korzystać z polskich śpiewników religijnych i polskich katechizmów. Natomiast pozostałe przedmioty, jak geografia, historia, rachunki i inne, miały być wykładane po niemiecku, i to nawet w szkołkach elementarnych. Językowi polskiemu wyznaczono jedynie pomocniczą rolę. W szkołach językowo mieszanych wszystkie dzieci miano uczyć po niemiecku, o ile oczywiście nauczyciele potrafiliby się wywiązać z tego zadania.

I dalsza kontrowersyjna teza Kosserta. Zgodnie z poglądem, iż przed 1873 r. tylko w okresie gizewiuszowskim doszło do zwalczania języka polskiego, twierdzi autor, że lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte aż do 1873 r. cechowało odprężenie w kwestii językowej. Otóż sądzę, że należało wyrazić ostrożniejszą opinię, bowiem trzecie ćwierćwiecze XIX w. nie zostało pod tym kątem przebadane. Działalność superintendenta piskiego Gottfrieda Schulza i wydawcy polskich druków Antoniego Alojzego Gąsiorowskiego nie wyczerpują zagadnienia. Ale i tak znane niektóre fakty z tego okresu przemawiają za tezą o kontynuacji polityki germanizacyjnej. Zabrakło jedynie postaci na miarę Gizewiusza, która by problem mogła nagłośnić w opinii publicznej. Oto kilka przykładów ilustrujących antypolskie dążenia na Mazurach po Wiośnie Ludów. W 1850 r. na konferencji Związku Nauczycielskiego w Ełku ogłoszono dwa referaty o sposobie skutecznego

nauczania języka niemieckiego w szkolnictwie elementarnym. Podobną tematykę podejmowano w Węgorzewie w 1851 r., w Olsztynku w 1861 r., w Ostródzie w 1862 r., w Szczytnie w 1864 r. Widać stąd, że była to akcja kierowana ogólnie. Największego rozgłosu nabrała konferencja w Olsztynku, a to dzięki opublikowaniu jej przebiegu w „Volksschulfreund” (1862, t. 26). W konferencji uczestniczyło około dwustu nauczycieli. Szereg też zaproponowanych przez jej organizatora, czyli przez władze rejencji królewieckiej, zostały przyjęte, ale przy dużej opozycji ze strony wielu nauczycieli, a niektóre generalnie odrzucone. Obecnie chciałbym zwrócić uwagę na tendencje germanizacyjne inspirowane właśnie przez wspomnianą rejencję królewiecką. Niektóre cytowane tu tezy dowodzą, jak dalece niemiecki duch nacjonalistyczny ujawniał się już przed wojnami z lat 1864, 1866 i 1870/1871:

„Teza 7. Pierwszym i najbardziej koniecznym krokiem w kierunku kształcenia ludności mazursko-polskiej jest — nauczanie jej języka niemieckiego. Zamknięcie przed nią tej możliwości oznacza uniemożliwienie jej jakiegokolwiek wykształcenia, a nauczyciel, którego misja polega właśnie na pośrednictwie w procesie kształcenia, nie zasługuje na miano nauczyciela, jeśli niczego nie zrobi dla Niemczyzny”.

„Teza 9. Niewielki teren, na którym rozumie się i mówi u nas po mazursko-polsku, nie powiększa się, lecz zmniejsza się. Wobec tego nieznanomość niemieckiego, abstrahując już od instytucji państwowych, które stawiają w tym względzie wymagania, musi poważnie utrudnić, ze szkodą dla ludności, zwiększające się kontakty”.

„Teza 11. Nie można myśleć o rzeczywiście zjednoczonych Niemczech bez panowania jednej mowy niemieckiej —”.

„Teza 12. Nauczyciele ludowi, którzy niczego nie robią dla Niemczyzny, są wobec tego nie tylko niegodni miana nauczyciela, ale też postępują bez litości w stosunku do ludności, dla której nauczanie się niemieckiego jest pilną potrzebą i przedmiotem prósb. Grzeszą oni przeciwko niemieckiej jedności, oczekiwanej z utęsknieniem przez wszystkich przyjaciół ojczyzny, chcą wbrew zasadom chrześcijaństwa utrwalić podział między wykształconymi i niewykształconymi, jaką przede wszystkim różnorodność językowa tworzy w tych okolicach”. W dyskusji nad tezą 12 zastanawiano się nawet, czy nie należałoby rozpoczynać nauczania religii w języku niemieckim już od klasy najniższej!

„Teza 13. Fałszem i dowodem braku zrozumienia jest posługiwanie się nieuzasadnionym pretekstem, jakoby przez uczenie niemieckiego uszczuplało się religijne kształcenie ludu. Językiem niemieckim mówili przecież i pisali najwięksi bohaterowie i wyznawcy Kościoła ewangelickiego. Prawdziwy motyw, jakim kierują się świadomi wrogowie Niemczyzny, znajdujący się wśród nas, to tylko lenistwo względnie brudne dążenie do tego, abyśmy utracili siłę i wpływ na ludność. Uwaga. Zatwardziałego Mazura (*Stockmeasure*), jak i spokrewnionego z nim pod względem językowym Polaka, łatwo można przyzwyczaić do ślepego posłuszeństwa i do niewolniczego kłaniania się wyżej postawionym. Z drugiej jednak strony jest on bardziej podatny na podszepty i bardziej od wykształconego Niemca skłonny do bestialskich popędów. Nauczyciele z tych okolic mogą opowiedzieć, jak to grozi się im, że ich bydło padnie, gdy zmusza się ludzi do płacenia kar za niechodzenie do szkoły. Tego rodzaju dowody pogańskiego barbarzyństwa w niemieckich okolicach są czymś niesłychanym”.

„Teza 15. Wprawdzie doświadczenie uczy, że mowa niemiecka potężnie kroczy naprzód w stronę naszej wschodniej granicy bez specjalnego w tym względzie działania, mimo to jej postępy powinny być przyspieszone przez szkołę”.

„Teza 17. Dla osiągnięcia tego celu [postępów w niemczyźnie — J.J.] należy uczyć po polsku (mazursku) religii te dzieci, które nie opanowały jeszcze w pełni języka niemieckiego, we wszystkich pozostałych przedmiotach nauczać należy po niemiecku [podkreślenie — J.J.]. Jedyne nauki czytania należy w interesie religii udzielać wymienionym uprzednio dzieciom w obu językach”. Po dyskusji: „Zgromadzeni przyjmują następnie, że tam, gdzie to możliwe, także na lekcjach religii należy uczyć po niemiecku”!

„Teza 18. Ponieważ szkoła jest często jedynym miejscem, w którym ucho dziecka słyszy niemieckie dźwięki, wobec tego nauczyciel powinien możliwie jak najwięcej rozmawiać z dziećmi po niemiecku i traktować polski jako nie dający się uniknąć środek wiodący do celu [podkreślenie — J.J.]. Nauczyciel powinien przeto zważać, aby dzieci w jakiś sposób zdolne do tego rozmawiały z sobą tylko po niemiecku. Jeśli w jakiejś szkole są dzieci niemieckie lub znające już język niemiecki, nauczyciel powinien posługiwać się nimi jako pomocnikami”.

„Teza 22. Poza szkołą nauczyciel i jego rodzina powinni stanowić ośrodek, dzięki któremu znajomość niemczyzny powoli będzie się rozszerzała na pozostałych członków gminy szkolnej. Rzeczą naganną jest, jeśli członkowie rodziny nauczyciela nie rozumieją i nie potrafią mówić po niemiecku”.

Komentując zebranie w Olsztynku, nauczyciel tamtejszego progimnazjum, dr Eduard Gervais — reprezentujący stanowisko władz — zdecydowanie się opowiadał za jak najszybszym szerzeniem języka niemieckiego: „We wszystkich przedmiotach nauczyciele powinni posługiwać się mową niemiecką w miarę możliwości jak najszybciej i jak najwięcej. Tylko na lekcjach religii i historii biblijnej podczas uczenia na pamięć przypowieści i zasad wiary można stosować oba języki i obydwojma posługiwać się też w miarę potrzeby dla koniecznych wyjaśnień”. Dodajmy tu, że z okazji konferencji w Olsztynku ujawniła się duża opozycja nauczycieli, a zwłaszcza duchownych wobec przedsięwzięć germanizacyjnych władz szkolnych, przy czym wiele mówiono o „niechętnym nastawieniu polskich rodziców do obcej mowy”. Najbardziej jednak obwiniano za słaby brak postępów w niemczyźnie duchowieństwo. W obronie germanizowanych i spotwarzanych Mazurów stanął diakon w Działdowie Hermann Friedrich Schrage. Oświadczył, nawiązując publicznie do tradycji Gizewiusza, że „nie można dopuścić, aby mazursko-polski Kościół ewangelicki uległ zagładzie”. Mazurom zaś język niemiecki jest potrzebny tylko dla porozumiewania się ze swoimi władzami.

Następna konferencja na ten temat odbyła się w Ostródzie w 1862 r., ale została zbojkotowana przez duchowieństwo ewangelickie, ponieważ zaplanowano na niej główny referat: „O konieczności, celowości i sposobie traktowania nauki po niemiecku w polskiej szkole ludowej”^{*}.

Zanim więc zrodził się ruch polski, zanim nastąpiła epoka Bismarcka, władze pruskie z wielką energią kontynuowały dzieło Theodora von Schöna, a to w imię niemieckiej kultury, w imię integracji językowej Prus, a nawet przyszłych Niemiec (teza 11). Były to mniej znane zarządzenia bądź zalecenia przede wszystkim władz rejencyjnych. Niebawem minister oświaty Heinrich Mühler ogłosił zarządzenie dla czterech rejencji prowincji pruskiej (1865), w którym dopuszczał język polski do nauczania religii jedynie w najniższych klasach szkół elementarnych. Akt ten był sankcjonowaniem istniejącej praktyki

^{*} E. Martuszewski, *Konferencja nauczycielska w Olsztynku w 1861 roku*, Komunikaty Mazursko-Warmińskie, 1979, nr 3, ss. 297—321.

z lat pięćdziesiątych i pierwszej połowy lat sześćdziesiątych, na co uskarżał się trzy lata później Wojciech Kętrzyński („Dziś język polski z szkół wiejskich nieomal jest wyrugowany wskutek rozporządzenia ministerialnego z 24 listopada 1865 r., które w XIX w. dzieci polskie tak dalece ogranicza, że ich język ojczysty tylko w najniższej klasie jest cierpiany, że jego używanie dozwala się nie jako środka do osiągnięcia oświaty, lecz jako środek niezbędny do uczenia się po niemiecku. Nie o naukę i oświatę tutaj chodzi — nauka i oświata istnieją tylko dla Niemców — ale o język niemiecki, o germanizację jak najszybszą ludu naszego”). Wskażmy przeto jeszcze raz palcem — działo się to przed 1873 r.

Kossert sądzi, że polityczne niepokoje Wiosny Ludów nie dotknęły Mazur, co najwyżej w stopniu marginalnym, że w ogóle nie istniały tu radykalne kluby demokratyczne. Generalnie nie dostrzega w tym okresie problematyki językowej. Ta ostatnia istniała, ale została zdominowana przez inne formy życia politycznego. Przy najbliższej okazji podejmę kwestię językową w latach 1848—1849. Obecnie odniosę się do ruchu *sensu stricte* politycznego. Otóż i na Mazurach doszło do dużej polaryzacji postaw politycznych tak wśród elit, jak i niższych warstw społecznych. Niewątpliwie większość włościństwa nastrojona była proregalistycznie, co jednak nie zawsze przekładało się na lojalne postawy wobec miejscowych władz państwowych. Landrat w Szczytnie chętnie się, że w czasie konfliktu listopadowego w 1848 r. wysłał adres do tronu z 1856 podpisami aprobującymi rozwiązanie przez króla Zgromadzenia Narodowego w Berlinie. Tymczasem Klub Demokratyczny w Szczytnie zakwestionował wartość adresu, ponieważ podpisy wymuszała policja, sołtysi i szlachta. W związku z agitacją wśród różnych kół politycznych w Prusach Wschodnich, nadprezydent prowincji dostrzegł największe zagrożenie spokoju publicznego w powiecie frydlandzkim i właśnie szczycieńskim. Pierwsze wybory w maju 1848 r. były — jak na owe czasy — wolne i demokratyczne. Można powiedzieć, że posłowie rzeczywiście reprezentowali poglądy swoich wyborców, chociaż ci ostatni niekiedy protestowali przeciwko niektórym uchwałom podejmowanym w Berlinie. W czasie obrad postawiono m.in. dwa istotne pytania: czy należy skasować stan szlachecki oraz czy sprzed tytułu króla usunąć słowa „z bożej łaski”. W obu wypadkach odpowiedzieli twierdząco następujący posłowie z Mazur: właściciel dóbr rycerskich z powiatu mrągowskiego, Rosanowski; sekretarz powiatowy z Lecu, Konietzko; proboszcz parafii ewangelickiej z Nidzicy, Ludwig Schadebrodt oraz profesor progimnazjum w Olsztynku, dr Karl Witt. I nikt z ich okręgów nie zgłosił z tego powodu sprzeciwu. Landrat z Pizsa Robert Reuter oraz wspomniany Witt, obaj posłowie, należeli do najbardziej skrajnych demokratów i z tego powodu w dobie reakcji porewolucyjnej byli prześladowani. Warto też przypomnieć dwa dwujęzyczne tytuły gazet o charakterze demokratycznym: w Szczytnie wychodził „Mazurski Kurek”, w Olsztynku „Osteroder Dorfzeitung”. Tak więc szeroko rozumiana problematyka Wiosny Ludów na Mazurach wymaga dalszych badań, ale i obecnie można było wykorzystać materiały chociażby już opublikowane w *Historii Pomorza* (t. 3, cz. 2), zamiast jej autorowi zarzucać ideologiczne podejście i odwracać się plecami od książki.

W ostatnich latach niemieccy autorzy nie pozostawiają suchej nitki na Wojciechu Kętrzyńskim. Hartmut Boockmann nazywa go „polskim nacjonalistą” (1993), Bernd Martin nie waha się powiedzieć, że cechowało go „nacjonalistyczne zaślepienie” (1998), a Jörg Hackmann oskarża go o „instrumentalizację” badań naukowych (2000). Także Kossert wysuwa wobec niego szereg zarzutów.

Kętrzyński — według niego — zgłosił żądanie „włączenia Mazur do przyszłego państwa polskiego”, wskutek czego „rozgorzał spór polsko-niemiecki o etniczną i narodową przynależność tej ludności”. Zdanie powyższe przeczytałem z niemalym zaskoczeniem. Niestety autor nie przytoczył źródła, z którego zaczerpnął myśl Kętrzyńskiego. Znam jego publicystykę, ale na tego rodzaju dezyderat nie natrafiłem. Zresztą Kętrzyński doczekałby się za to drugiego procesu sądowego. Wbrew opinii Kosserta i innych historyków niemieckich, wystąpienia Kętrzyńskiego z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych nie można utożsamiać z początkiem ruchu polskiego na Mazurach, którego nieśmiały prób należy szukać raczej w „Mazurze” Jana Karola Sembrzyckiego (1883—1884), a rozwoju w Mazurskiej Partii Ludowej u schyłku XIX w. Tego zdania były i władze pruskie (zob. memoriał Ernsta Eilsbergera z 1902 r.: „— daß bis zu Anfang der achtziger Jahre von einer nationalpolnischen Bewegung in Ostpreussen noch kein Spur vorhanden war”). Natomiast Kętrzyński swoimi manifestami z lat 1868 i 1872 zaapelował do społeczeństwa polskiego o udzielenie pomocy germanizowanej ludności mazurskiej. Ale czym innym jest zwrócenie uwagi na problem mazurski polskiej opinii publicznej, a czym innym konkretna działalność na Mazurach. Ta, jak wiadomo, w 1872 r. nie wyszła poza nieudane negocjacje z Gerssem. Kossert tej zasadniczej różnicy nie dostrzega. W jaki sposób Gerss miał służyć pomocą Kętrzyńskiemu? Otóż Kętrzyński, znając charakter i ogólną świadomość społeczności mazurskiej, szukał dla niej owej „trzeciej drogi”, o której wspomina Kossert i którą znajduje dopiero w okresie Republiki Weimarskiej. Tymczasem Kętrzyński już na początku swej działalności właśnie w Gerssie widział rzecznika trzeciego rozwiązania, i dlatego, wraz z propozycją redagowania „Mazura” pozostawiał mu szerokie pełnomocnictwa. Jak już wspomniano, Gerss nie czuł się Polakiem, a jedynie Mazurem-Prusakim lub Prusakim-Mazurem. W interesującej nas kwestii pismo „Mazur” miało dokładać starań, aby „język polski w szkołach wiejskich bardziej był uwzględniony niżeli dziś, żeby w szkołach miejskich i w gimnazjach tamtejszych język polski przynajmniej był przedmiotem wykładu”. Ponadto Gerss, jako redaktor, winien zachowywać postawę neutralną wobec Polaków i religii katolickiej. Z wyjątkiem ostatniego postulatu o religii katolickiej, Gerss gotów był przyjąć warunki Kętrzyńskiego. W innym miejscu Kętrzyński napominał polską opinię publiczną: „Starajmy się o ich oświatę, o obudzenie miłości do własnego języka, szanując przekonania religijne i polityczne”. Tu — „polityczne przekonanie” — oznaczało przede wszystkim głęboko zakorzenione poczucie regalizmu i lojalizmu wobec Prus. Można zatem powiedzieć, że nie kto inny, jak właśnie Kętrzyński, próbując oddziaływać na oświatę Mazurów za pośrednictwem Gerssa, stuprocentowego Mazura zrośniętego ze swoją społecznością, jak najbardziej szanował jej podmiotowość. Co więcej, dążąc do zahamowania procesów germanizacyjnych, usiłował ratować jej mazurskość. Tak więc oskarżanie Kętrzyńskiego o polski nacjonalizm jest zasadniczym nieporozumieniem.

Wyrzuca też Kossert Kętrzyńskiemu i idącemu za nim mecenasowi Antoniemu Osuchowskiemu, że posługiwali się terminem „wynarodowienie”, a przecież — pisze autor — Mazurzy nie czuli się narodem, tu polskim. Rzeczywiście, Kętrzyński stosował wyrażenie „wynarodowienie Mazurów”, ale jest to typowe łapanie za słówka z dzisiejszej perspektywy. Z kontekstu jego artykułów widać, że „wynarodowienie” identyfikował z zabieraniem Mazurom ich plemiennych właściwości, ludowej kultury, a przede wszystkim ojczystego języka. Wszak wszystkie jego wywody zmierzały do wykazania, że zanim Mazurzy zdążą poczuć się Polakami, odbierze się im stare przymioty, wywodzące

się ze wspólnego pnia polskiego. W ten sposób rozumiała pojęcie „wynarodowienie” ówczesna opinia publiczna. Niemcy o uświadomionych narodowo Polakach mówili „Nationalpolen”. Dobrze się też orientowali, że Kętrzyński, mówiąc o „wynarodowieniu”, miał na myśli przekształcenie ludności polskiego pochodzenia, ale nie uważającej się za Polaków, w narodowo uświadomionych Niemców-Prusaków. Jeśli Kętrzyński uważał, że z czasem Mazurzy mogą się stać przekonаныmi Polakami („— a nie ulega wątpliwości, że przyjdzie czas, gdy i Mazur pruski powoli przejrzy czym był, czym jest i czym być powinien”), to wynikać to miało z naturalnej kolei rzeczy, z uświadomienia przez nich przede wszystkim tego, że mają wspólne korzenie polskie, tak co do mowy, jak i ludowej kultury. Procesy unaradawiające istniały wówczas wśród niższych warstw społecznych wielu ludów europejskich, dla których najważniejszym spoiwem była wspólnota językowa, także we wszystkich zaborach Polski. Chłopi byli poddanyami władców rosyjskich już od kilku pokoleń, a pomimo to nikt nie ma pretensji o to, że działacze polscy prowadzili wśród nich działalność narodouświadamiającą. Różnica w stosunku do Mazurów polegała na tym, że ci ostatni — pomijając kwestię wyznaniową — znacznie dłużej podlegali władzy pruskiej (niemieckiej) niż ludność Królestwa Polskiego władzy rosyjskiej. Ale wówczas — podkreślam jeszcze raz — najważniejszym obiektywnym kryterium narodowym była wspólnota językowa. Na niej budowano nadzieję, że również Mazurów uda się uświadomić w duchu polskim, podobnie jak władze niemieckie liczyły, zresztą także daremnie, że niemieckojęzycznych Alzatzczyków przekształcą w uświadomionych narodowych Niemców, pomimo ich długotrwałych związków z Francją.

Przejdźmy obecnie do kilku drobniejszych kwestii. Pisze Kossert o Kętrzyńskim, iż dostrzegając w dziele Maxa Toeppena (*Geschichte Masurens*, 1870) antypolskie tendencje, opublikował książeczkę *O Mazurach* w 1872 r. z odwrotnymi, antyniemieckimi założeniami. Ale — dodajmy — Kossert niekonsekwentnie z tym zdaniem dopisał w innym miejscu, tym razem zgodnie z prawdą, że Kętrzyński już w 1868 r. ogłosił po raz pierwszy swoje tezy o ludności mazurskiej w „Dzienniku Poznańskim”. Tak więc widać, że Toeppen nie zainspirował Kętrzyńskiego do zajęcia się sprawą mazurską. Do wydania książeczki w 1872 r. zachęcili go zresztą różni działacze polscy, a nie Toeppen, pisałem o tym w 1988 r.

Chciałbym się teraz odnieść do zarzutu, że polska historiografia zawsze próbowała po roku 1945 uczynić z Michała Kajki, mazurskiego poety ludowego, symbol odwiecznej polskości. Kajka zaś — ogłasza Kossert — dopiero po roku 1918 doszedł do pełnej polskiej świadomości narodowej. Przeto został przez polską propagandę potraktowany instrumentalnie.

Otóż dla polskiej opinii publicznej, interesującej się sprawą mazurską, odkryła Kajkę w latach międzywojennych Emilia Sukertowa-Biedrawina. Na łamach „Gazety Mazurskiej” i „Kalendarza dla Mazurów” drukowała jego liczne utwory, najczęściej religijne, także polsko-patriotyczne i inne. Kajka jeden z wierszy dedykował właśnie redaktorce, której zresztą nigdy osobiście nie poznał. W każdym razie Sukertowa-Biedrawina utrzymywała kontakty z Kajką, już uświadomionym Polakiem, i takim go pamiętała po wojnie. Tymczasem poeta mazurski, podobnie jak niemal cała społeczność mazurska, żywił do 1918 r. uczucia propruskie i procesarskie, ale nigdy proniemieckie. Jego twórczości procesarskiej sprzed 1918 r. polska redaktorka nie znała. W związku ze stuletnią rocznicą urodzin poety (1958) zająłem się bliżej jego życiorysem i twórczością

(wspólnie z Tadeuszem Orackim). Doszedłem wówczas do przekonania, że chociaż władze pruskie zaliczały go już u schyłku XIX w. do „Stockpolen”, przecież on sam nie identyfikował się jeszcze całkowicie z polskim narodem. Przeszkadzała mu w tym głównie długa przynależność kraju mazurskiego do państwa pruskiego. W 1982 r. opublikowaliśmy z Tadeuszem Orackim dwa jego wiersze procesarskie, które Wydawnictwo „Borussia” w 1998 r. przedrukowało jako swego rodzaju rewelację, „dema-skującą” Kajkę. Wracając do roku 1958, muszę z uznaniem powiedzieć o mojej kierownicze Emilii Sukertowej-Biedrawinie, że aczkolwiek w pierwszym momencie nie była szczęśliwa z powodu mojego odkrycia, to jednak bez żadnych poprawek wydrukowała mój artykuł o Kajce w „Komunikatach Mazursko-Warmińskich”, a ponadto sporządziła nadbitki w nakładzie stu egzemplarzy. Od tego czasu tylko niedouczeni publicyści powtarzali o Kajce stereotypowe opowieści. Ale trzeba też przypomnieć, że Kajka jako członek Mazurskiej Partii Ludowej i czynny współpracownik elckiej „Gazety Ludowej” oraz szczycieńskiego „Mazura” już przed I wojną światową związał się z ruchem polskim, pod pseudonimem Prawdzińskiego ostro atakując germanizatorów. Powtarza Kossert, idąc za dawniejszą literaturą, że Kajka, z uwagi na syna, który miał kłopoty z powodu zaangażowania ojca w ruch polskim, od 1936 r. miał przestać drukować wiersze pod swoim nazwiskiem w „Mazurze”. Otóż było zgoła inaczej, publikował je do końca, do roku 1939.

Nieco dziwne, że Kossert, któremu tak bardzo zależy na ukazaniu „trzeciej drogi” Mazurów (pomiędzy niemieckim a polskim nacjonalizmem), tak mało uwagi poświęcił Związkowi Mazurów Adolfa Symanzika (Szymańczyka), Gustava Sawitzkiego i Kurta Obitzza. Niemal w ogóle nie zajął się pismem „Cech”. Spróbuj zatem częściowo wyręczyć autora.

Już na pierwszym zebraniu publicznym Związku Mazurów w 1924 r. w Elku żądano: „zastąpienia urzędników niemieckich na Mazurach Mazurami, oddania parcel rządowych i kredytów na Mazurach przede wszystkim Mazurom, wrócenia Mazurom starych praw i przywilejów, wprowadzenia naszego języka ojczystego do szkół i bezwzględnego udzielania nauki religii i śpiewu w naszym języku. Hasło — dodaje Obitz — »Mazury dla Mazurów« i wszystkie te żądania Związku znalazły zrozumienie i gorące poparcie ze strony gospodarzy mazurskich”.

Związek Mazurów stał na gruncie lojalności wobec państwa niemieckiego, a zatem uznawał też wyniki plebiscytu. Brał poważnie fakt głosowania za Prusami Wschodnimi, a nie za Niemcami. Nie dziwił się, że Polska zgłaszała po 1918 r. aspiracje do południowych części Prus Wschodnich. Znowu oddaje głos Obitzowi: „Żądając plebiscytu Polska kierowała się zrozumiałym dążeniem ogarnięcia wszystkich ziem zamieszkałych przez ludność rdzennie polską”. Ale jednocześnie Polska nie dostrzegała, że lud mazurski „rozwinął swoją historyczną odrębność i że jest związany więzami wyznania, pokrewieństwa i gospodarki z Prusami Wschodnimi”. Mazurzy poparli w 1920 r. program Związku Mazurów Worgitzkiego, bo lądowano ich autonomią, a za dotychczasową dyskryminację zrzucano odpowiedzialność na autokratyzm Cesarstwa, z którym Republika Weimarska miała definitywnie zerwać. Elcki Związek Mazurów odnosił się przychylnie do państwa polskiego, chociaż miał do niego pretensję o to, że nie interweniuje w sprawie dyskryminacji ludności mazurskiej, co mogło czynić chociażby metodą retorsji wobec ludności niemieckiej w Polsce. „Cech” cieszył się, że w Piasutnie została otwarta pierwsza szkoła polska i wyrażał życzenie, aby założono ich jeszcze sto.

Polacy są braćmi Mazurów, bo jedni i drudzy wywodzą się ze wspólnego polskiego szczełu. „Nie wolno dlatego o swym bracie źle i wrogo myśleć”.

Interesującą sprawą jest stosunek Związku Mazurów do tradycji mazurskiej, a szczególnie do niektórych bardziej znanych postaci. Gizewiusza bardzo cenił za to, że „walczył zawzięcie z wrogami ludu o język ojczysty, o mazurską kulturę” i w ogóle o zachowanie etnicznej narodowości przy jednoczesnej postawie lojalności wobec pruskiego tronu. Obitz z jeszcze większym uznaniem wyrażał się o Kętrzyńskim: „Apelował nieustannie do sumienia narodu [polskiego — J. J.], aby Polska nie zapomniała o walczących ciężko braciach mazurskich. Zasłużył się dobrze ludowi naszemu”. Również nie szczędził dużych pochwał braciom mazurskim, Karolowi i Hugonowi Bahrkom, redaktorom etckiej „Gazety Ludowej”, jak też działającej od schyłku XIX w. Mazurskiej Partii Ludowej. Późniejszych redaktorów gazet polskich nazywał już „agentami ruchu polskiego”. Porównując program Mazurskiej Partii Ludowej z programem Związku Mazurów bez trudu dostrzegamy daleko idącą zbieżność ideową. Sądzę, że związek Mazurów, a zwłaszcza jego organ „Cech” zasługują na szczegółową monografię, ponieważ w interesujący sposób wpisały się w myśl polityczną swojej ludności.

Kossert nie zgadza się z polskimi autorami twierdzącymi, że gromadkarz Bogumił Leyk włączył się do polskiego ruchu. Jednakże chociaż gromadkarstwo w całości było zjawiskiem religijnym, to poszczególni jego przedstawiciele mogli się wiązać i wiazali z ruchem polskim. Właśnie Bogumił Leyk współpracował blisko z Kazimierzem Jaroszykiem, redaktorem „Mazura”. A w ogóle w 1898 r. gromadkarze z powiatu szczyńskiego w czasie wyborów do Reichstagu poparli polskiego kandydata, Eugeniusza Lewandowskiego. Pisał o tym w 1902 r. cytowany już urzędnik naczelnego prezydium w Królewcu, Eilsberger. Jeśli zaś chodzi o ruch gromadkarski w okresie międzywojennym, to żałować trzeba, że autor nie próbował scharakteryzować jego organu „Twierdzy Ewangelickiej”, dostępnej w bibliotece Ośrodka Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego w Olsztynie.

Dziwi się autor, że Wojciech Wrzesiński przejście Roberta Machta wraz z Bankiem Mazurskim do obozu niemieckiego określa, bez ogródek, „zdradą”. Istniała wówczas autentyczna walka pomiędzy władzami niemieckim a ruchem polskim na Mazurach. Macht związany był początkowo z ruchem polskim. I oto w 1928 r. dokonał gwałtownej wolty. Nie znamy motywów jego decyzji. Ale przeszedłszy do dotychczasowego wroga — można powiedzieć — popełnił wprost klasyczną zdradę, tak go ocenia także Kurt Obitz. Dodajmy, że w latach nazistowskich Macht działał w Bund Deutscher Osten, a w czasie ostatniej wojny został nawet burmistrzem Mławy! Chyba że od początku był niemieckim agentem w ruchu polskim, wówczas jego postępek z 1928 r. należałoby zdefiniować inaczej. Ale jest to tylko przypuszczenie, natomiast konkretne fakty kwalifikują go jednoznacznie jako zdrajcę.

Na zakończenie wypada wskazać na szereg drobniejszych błędów czy pomyłek.

Święto Matki Bożej „Zielnej” (Wniebowzięcie) przypada dokładnie w połowie sierpnia, a nie na jego początku (s. 32). — Większość mazurskich powiatów położona była w rejencji gabińskiej, a nie w królewieckiej (s. 38). — Gustaw Gizewiusz nie wydawał polskich słowników ani „Jahrbücher für Slawische Literatur, Kunst und Wissenschaft” (s. 42). — Antoni Alojzy Gąsiorowski, wydawca polskojęzycznych druków, pochodził z Brodnicy, a nie z Wielkopolski (s. 43). — Marcin Gerss nie wydawał wspólnie z Wilhelmem Menzlem „Przyjaciela Ludu Łeckiego”, a tylko zamieszczał w nim swoje

utwory (s. 44). — Ferdinand Gregorovius opublikował *Idee des Polenthums* jako jednorazową odrębną książkę, a nie wydawał jej w jakiejś serii (s. 44). — Wojciech Kętrzyński zatytułował tomik swojej młodzieńczej poezji *Aus dem Liederbuch eines Germanisierten*, a nie *Aus dem Tagebuch eines Germanisierten* (s. 117). — Pierwsze pieśni mazurskie ogłosił najpierw Gustaw Gizewiusz w 1839 r. w leszczyńskim „Przyjacielu Ludu”, a nie dopiero Oskar Kolberg w 1857 r. (s. 120). — W Archiwum Państwowym w Olsztynie pracuje aktualnie Beata Waclawik, a nie Węclawik (s. IX). — Piśmiennictwem mazurskim zajęli się najpierw Juliusz Ossowski (1882) oraz Jan Karol Sembrzycki (1888), a nie Emilia Sukertowa-Biedrawina (1935) i Zygmunt Mocarski (1939) (s. 278). — Pierwszą książeczką drukowaną po polsku był *Raj duszy* (1513) Biernata z Lublina, a nie *Maly katechizm* Jana Maletiusa z 1546 r. (s. 110). — Władysław Gomułka był I sekretarzem PPR, a nie jej przewodniczącym (s. 305). — Bolesław Bierut nie był przywódcą PPS, lecz działaczem PPR (s. 303). — Obrady Polskiego Towarzystwa Historycznego w Olsztynie w 1954 r. toczyły się na zamku, a nie w pomieszczeniach Stacji Naukowej PTH (Instytut Mazurski). Dwa małe pokoiki zawalone książkami nie miały żadnej możliwości zgromadzenia około stu delegatów (s. 319). — Adolf Szymański wyjechał do Szwajcarii, a nie do Niemiec (s. 330).

Książkę Kosserta, pomimo szeregu kwestii dyskusyjnych, oceniam generalnie pozytywnie, nawet więcej, wysoko, a to z uwagi na wielki krok zrobiony w historiografii niemieckiej, dostrzegający świadome, długotrwałe dążenia germanizacyjne wywołane głównie nurtami nacjonalistycznymi. Natomiast nie mogę zgodzić się z drugą ważną tezą autora, jakoby do zaniku ludu mazurskiego w równej mierze przyczynił się nacjonalizm polski. Walka z mazurskością nie wynikała bowiem z wydumanego „niebezpieczeństwa polskiego”, którego w rzeczywistości nie było, nawet w okresie plebiscytu. Sam autor udowodnił, że omnipotencja Trzeciej Rzeszy ostatecznie odcięła najmłodsze pokolenie od mazurskich korzeni ich przodków.